

SPIĘTY:

MUSI SIĘ UTRZĄŚĆ, UTRZEĆ, UŁOŻYĆ

**RENIFER, KOMINEK
I GEORGE MICHAEL**
O TZW. CHRISTMAS SONGACH

HISTORIA JEDNEJ PIOSENKI
**RZĘKA LUDZI
ZMIENIA ŚWIAT**

**PODSUMOWANIE
MUZYCZNE 2015**

magazyn
bezpłatny



MUSYK
MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY

numer
#10

grudzień 2015
ISSN 2299-6273

KONCERT

KAMP!

+

WE DRAW A

6 LUTEGO

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

SALA KAMERALNA



HUNTER

02 KWIETNIA

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
SALA KAMERALNA

SPIS TREŚCI

SHORTY

NEWSY, CIEKAWOSTKI, INFORMACJE

str. 04

MUSI SIĘ UTRZAŚĆ, UTRZEĆ, UŁOŻYĆ

WYWIAD Z HUBERTEM „SPIĘTYM” DOBACZEWSKIM Z LAO CHE

str. 05

RENIFERY, KOMINEK I GEORGE MICHAEL

O TZW. CHRISTMAS SONGACH

str. 08

SZAFA GRAJĄCA

EDITORS - „NO HARM”

str. 10

GALERIA

FOTOGALERIA KONCERTÓW W NCPP

str. 12

RZĘKA LUDZI ZMIENIA ŚWIAT

HISTORIA JEDNEJ PIOSENKI

str. 14

CAŁA FRAJDA POLEGA NA PODRÓŻY SAMEJ W SOBIE

WYWIAD Z DAWIDEM PORTASZEM Z ZESPOŁU JAFIA

str. 15

PODSUMOWANIE MUZYCZNE 2015

RANKING INACZEJ

str. 17

WSTĘP

Zgadzam się w 100% z Jarkiem Szubrychtem, który twierdzi, że zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym w polskiej muzyce dawno nie działo się tak dobrze. Problem w tym, że nie ma odpowiednich miejsc, by to pokazać i rzetelnie opisać – stąd pomysł stworzenia Gazety Magnetofonowej, który możecie wesprzeć na polakpotrafi.pl. Trzymamy kciuki tym bardziej, że podobne przesłanki były powodem powstania MIC-a, którego ostatni numer oddajemy właśnie w wasze ręce. Zwykle rubryka, w której polecamy nowe płyty, filmy i książki, znajduje się na samym końcu, ale ostatni w tym roku, podsumowujący MIC tak nam się rozrósł, że na „Zaleca się” nie starczyło miejsca. Dlatego wybaczenie, ale nie miałem wyboru i wciskam coś na kształt recenzji do wstępniaka, bo nie wspomnieć o wywiadzie rzece z Kazikiem Staszewskim autorstwa Rafała Księżyka, byłoby nieprzyzwoitością. Jak tylko poznałem datę premiery „Idę tam gdzie idę”, od razu ostrzyłem sobie na nią zęby. Podobnie jak w przypadku poprzednich pozycji, „Idę tam gdzie idę” jest książką, która nie posiada niedociągnięć czy luk. Każdy etap życia Kazika opisany jest z ogromną skrupulatnością i przyznam, że nawet ja, który m.in. na twórczości Staszewskiego się wychowałem, miałem chwilowe trudności, by przedrzeć się przez wszystkie fazy dzieciństwa artysty. Ale właśnie za to książki Księżyka uwielbiam: za wyjątkowo skrupulatne podejście do tematu, za przygotowanie, za wiedzę oraz, wreszcie, za to, że daje się swoim bohaterom wypowiedzieć. Bo każda z biografii powstawała przy współudziale pytanych, każdy z nich się pod nią podpisał i każdy ją reklamował. Wiedza, jaką na temat życia Kazika i polskiej muzyki posiada Rafał Księżyk, jest trudna do opisania jednym słowem, ale mówiąc najprościej, miło jest przeczytać wywiad, do którego autor się przygotował. Co więcej, jest to wywiad, w którym stuprocentowym bohaterem jest pytany, a nie ten, który pytania zadaje. Mimo tytanicznej wręcz pracy, jaką autor musiał wykonać, na ponad 400 stronach „Idę tam gdzie idę” próżno szukać lansu i pucowania. Można za to znaleźć mnóstwo fascynujących historii, tzw. tła, które pokazuje, jak kształtowała się nowa fala, punk rock, rap oraz wiele, wiele innych gatunków muzycznych oraz jak ewoluowała jedna z największych postaci polskiej sceny niezależnej. Postać, którą cechowało wycofanie i której daleko było do lidera, za jakiego jest powszechnie uważany. Więcej nie powiem, bo brak tu na to miejsca, poza tym nie chciałbym odbierać wam przyjemności. A tej przy lekturze „Idę tam gdzie idę” nie brakuje.

Marek Szubryt



MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej stronie

www.ncpp.opole.pl

SHORTY

HISTORIA OASIS NA SZKLANYM EKSTRANIE

W 2016 roku możemy się spodziewać filmu dokumentalnego o zespole Oasis. Sprawa wydaje się interesująca tym bardziej, że za realizację tegoż odpowiedzialni mają być Asif Kapadia i James Gay-Rees. Nie będzie to pierwsza współpraca obu panów, gdyż pracowali już ze sobą przy świetnie przyjętym dokumencie „Amy”. Autorzy otrzymali podobno błogosławieństwo członków zespołu oraz bezprecedensowy dostęp do materiałów archiwalnych grupy. Wypada życzyć powodzenia i trzymać kciuki. Bo bracia Gallagherowie nie raz udowodnili, że ich taska na pstrym koniu jeździ.

Rafał Czarniecki



40 PRZEBOJÓW

Tak roboczo nazywa się projekt Arka Jakubika i Olafa Deriglasoffa. Autorami tekstów mają być Krzysztof Varga i Marcin Świetlicki, za sferę muzyczną odpowiadać będzie Olaf Deriglasoff, a Arkadiusz Jakubik okraśli to wszystko głosem. Według zapowiedzi królować będzie muzyczny eklektyzm: od cyber punka po electro pop. „Projekt ten to nie li tylko warstwa muzyczna – sięga on znacznie dalej. W perspektywie ma połączyć różne dziedziny sztuki: muzykę, film, sztuki audiowizualne i teatr” – piszą panowie na swoim Facebooku. Piosenki mają trwać od 60 do 90 sekund, a miniteledyski do niektórych z nich mają stworzyć tak uznani twórcy jak Wojtek Smarzewski czy Łukasz Palkowski. Czekamy na więcej.

Rafał Czarniecki



GDY POLITYCY WYKORZYSTUJĄ MUZYKÓW...

Będąc precyzyjnym – podejmują nieudolne próby. Tom Yorke zdradził w wywiadzie dla portalu Telerama, że podczas jego działalności w organizacji zajmującej się walką z ociepleniem klimatu był szantażowany przez ludzi z otoczenia Tony’ego Blaira, ówczesnego premiera. Blair zabiegał o spotkanie z muzykiem, gdyż jego popularność bardzo pomogła nagłośnić sprawę ocieplenia klimatu, co było na rękę rządzącym. Yorke odrzucił propozycję, gdyż Wielka Brytania zaangażowana była w wojnę w Iraku, a sam muzyk nie chciał zostać uwieczniony na wspólnej fotografii z odpowiedzialnym za obecność brytyjskich wojsk premierem. Kancelaria premiera zagroziła odcięciem organizacji ekologicznych od spotkań negocjacyjnych z władzą. Muzyk nie uległ i konsekwentnie wspiera projekty związane z ochroną klimatu. I kto tu rządzi?

Michał Mościcki

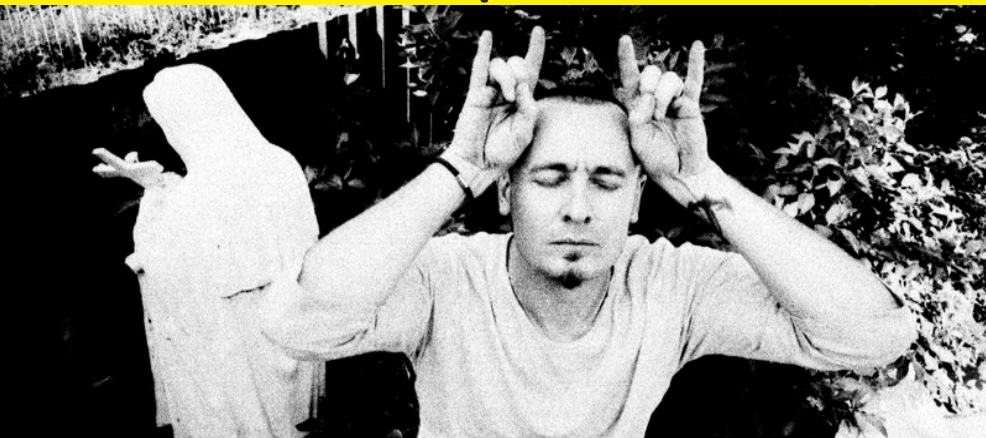
... A MUZYCY POLITYKÓW

Muzycy zespołu Coldplay natomiast nie stronią od polityków i na ich najnowszym albumie pt. „A Head Full Of Dreams” zaśpiewał... Barack Obama! Oczywiście prezydent nie zaszczylił zespołu swoją obecnością w studiu, a jedynie wykorzystano na płycie nagranie pieśni śpiewanej przez Obamę na pogrzebie senatora Pinckneya, zastrzelonego przez ekstremistę. Chcąc nie chcąc, Obama pojawi się na albumie u boku Beyoncé, Gwyneth Paltrow i Noela Gallaghery. Mają rozmach!

Michał Mościcki

WYWIAD Z HUBERTEM „SPIĘTYM” DOBACZEWSKIM

for. Marcin Klimoer



MUSI SIĘ UTRZAŚĆ, UTRZEĆ, UŁOŻYĆ

Cholera, dawno już nie było wojny, nie było jakiegś zawieruchy. Jeśli dane nam będzie trwać jako naród, to przetrwamy. A kompleksy? Zawsze są, ale, mam wrażenie, u nas jakby biorą czasem górę. Przecież przez całe lata tego państwa nie było! Teraz znów jest, choć krótko – z Hubertem „Spiętym” Dobaczewskim rozmawia Marek Szubryt.

Marek Szubryt: W „Wojence” na waszej ostatniej płycie zawarty jest dużo wątpliwości. „Gdyby do nas przyszła, [...] kłamałbyś jak popadnie, choć kłamać, córeńko, nieładnie”?

Hubert „Spięty” Dobaczewski: Może dlatego, że robiliśmy płytę o Powstaniu Warszawskim i temat

mamy przerobiony, dużo myślałem o wojnie i muszę się przyznać, że miałem takie lęki: co by było gdyby. Bo w ramach naszej polskiej kultury zawsze dominuje pogląd czy tendencja, że jesteśmy narodem, który jest ofiarą.

Walecznym jednocześnie.

Tak, zdecydowanie, jak najbardziej. Nie ujmując, ale problem polega na tym, że czasem nam się wydaje, że nie popełnialiśmy i nie popełniamy błędów.

Skądze znou.

Właśnie. I kiedyś jako dziecko chłonałem – bo wyniosłem to ze szkoły – przede wszystkim historię, że Polska była

i jest narodem, który nigdy, absolutnie nigdy nie był negatywny. I chyba dlatego mam coraz większy problem z polsnością. Przy okazji płyty o Powstaniu byłem bardzo przejęty i dumny z tego, że jestem Polakiem. Bo my w ogóle, jako zespół, zajmujemy się tą polsnością, mając jednocześnie z nią problem. Może to jest jakiś kompleks? Jak robiliśmy „Powstanie”, to sobie myślałem, że to cholernie dobrze, że się tym zajmujemy. To było ponad 10 lat temu, temat ten miał zupełnie inną wrażliwość i powodował u nas uniesienie.

Wtedy mało kto się tym tematem zajmował. Cały proces przywracania pamięci o powstańcach warszawskich, zresztą słuszny, dopiero raczkował. Byliście jednymi z pierwszych i oprócz pochwał zebraliście też niezłe bęcki. Dopiero później zaczęły powstawać kolejne projekty, nie tylko muzyczne. Fala dopiero się wznosiła, ale teraz, mam wrażenie, mamy kolejną fazę, tyle że fala wezbrała już na dobre.

Tak, można chyba powiedzieć, że robi się z tego taki bąbel. Kiedyś, jak wjeżdżałem do Warszawy, na Starym Mieście, jak się jechało Wisłostradą, to na murze było napisane „Pamiętamy 44”. To było hasło przez duże H, wydobyte z niepamięci, a teraz to się robi takie... Sam nie wiem.

Zmieniło znaczenie?

Jak są na przykład nalepki na samochodach z „Polską Walczącą” czy z „44”, to już nie budzi to mojego entuzjazmu.

Ale 10 lat temu jeszcze entuzjazm był?

Tak, zdecydowanie. Bo wiesz, kiedyś ten temat nie istniał powszechnie. Wiem, że inaczej to wyglądało, a potem dorwała się do tego taka energia, która mnie nie do końca pasuje.

W wywiadach unikasz wypowiedziania się na tematy

społeczno-polityczne.

Ale chcąc nie chcąc temat do mnie wraca i nie da się od niego niekiedy uciec. Na przykład sprawa *coming outu* Dimona, do której pewnie nawiązujesz.

Odbiło się to szerokim echem, a gdy się czyta niektóre komentarze w internecie, aż włos się na głowie jeży. Ale, jak rozumiem: „do szeregu i moralnie nie dezertuj”?

Jesteśmy zespołem od wielu lat. Żyjemy i pracujemy wspólnie i musimy się ze sobą dogadywać. Jesteśmy ze sobą zżyci. Kto nigdy nie był w kapeli, ten tego może nie zrozumieć. Dlatego nie było ani cienia wątpliwości. Dimon jest naszym przyjacielem i nie ma specjalnie o czym dyskutować. Jak już powiedziałem, widocznie Bóg tak chciał, i ja mu się do tej roboty nie mieszam. A że niektórzy komentują to w nieprzyjemny sposób...

Jak to czytasz, to nie masz ochoty się gdzieś schować?

Tak, mam ochotę się zaszyć. Wiesz, rozmawiam w języku polskim, moja żona jest Polką, moje dzieci są Polakami i jestem z tego dumny. Jest mnóstwo cech i walorów naszej kultury, które chciałbym pielęgnować. Wiele rzeczy, które jako Lao Che robiliśmy wcześniej, nasze pierwsze kroki, np. „Gusta”, były bardzo spontaniczne i trochę dziecięce. Całe to nasze zafascynowanie słowiańskością, polskim romantyzmem było dość bezkrytyczne. Ot, po prostu, dobry temat, to jedziemy! Tak to wtedy widzieliśmy.

„Macie taki słowiański sznyt, winszuję!”

Tak czuliśmy wtedy, ale im dalej w to brnęliśmy, tym bardziej sytuacja się zmieniła. I muszę przyznać, że smuci mnie to, bo ile razy myślę o 11 listopada, to zamiast się cieszyć, zastanawiam się, kogo tym razem pobiją albo przynajmniej zwyzywają czy wygwizdzą.



Jak na rysunku Raczkowskiego, na którym synek z ojcem idą obrzeżami, w tle widać budynki z flagami i synek pyta: Tato, dlaczego idziemy dookoła? Bo obchodzimy święto – odpowiada ojciec.

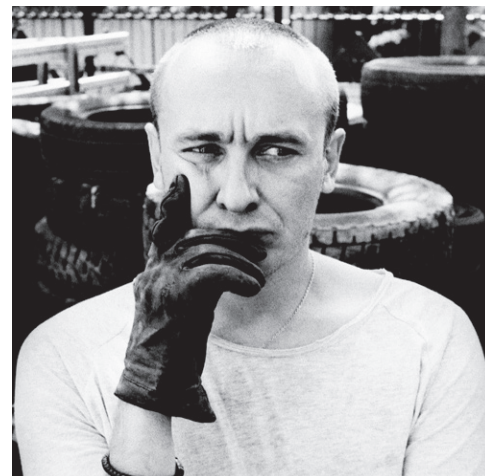
No właśnie. Powiem ci, kiedyś nawet nie myślałem o sobie jako o gościu, który mógłby żyć gdzie indziej, a od jakiegoś czasu chodzi mi to po głowie.

Mógłbyś wziąć walizki, spakować rodzinę i wyjechać, żeby żyć gdzie indziej?

Nie wiem. Pewnie do tego nigdy nie dojdzie. Przynajmniej nie z własnej woli. Ale kiedyś myślałem, że nie byłbym w stanie tego zrobić, a od jakiegoś czasu się nad tym zastawiam.

Osiadłbyś, gdzie mówi się w innym języku, twoje córki chodziłyby do innych szkół, mówiłyby innym językiem, a kraj pochodzenia rodziców stawałby się jakąś mniej lub bardziej egzotyczną krainą. Ty byś za to siedział i tylko obserwował, co się dzieje w kraju i trafiałby cię szlag.

Często sobie myślę o tym, że mój dziadek Karol Cholewiński, który urodził się 1898 roku, przyszedł na świat podczas zaborów. Przeżył pierwszą wojnę światową, potem urodziło mu się sześć córek, następnie druga wojna światowa, komunizm. Dożył do dziewięćdziesiątego roku, więc można powiedzieć, że doczekał jeszcze suwerenności. Jak tak na to patrzę, to nie mogę uwierzyć, ile rzeczy się wydarzyło w trakcie jego życia. A jakbyśmy się cofnęli do XIX wieku i zapytali zwykłych ludzi, kim są, to niewielu by odpowiedziało w kategoriach narodowych, bo świadomość narodowa zwykłych ludzi była znikoma. Tymczasem raptem sto kilkanaście lat później nikt nie ma wątpliwości. I tak się zastanawiam, z czego to wynika, że brak w naszej historii jakiejś ciągłości, tzw. środka. Bo albo nas nie ma, zostajemy rozłożeni na łopatki, jesteśmy pod zaborami, albo nagle powstajemy, zbieramy się do kupy, walczymy i nagle mamy wszystko, jest euforia, pełna jaskrawość, której z czasem brakuje subtelności. Nie można o tym rozmawiać, tylko trzeba skandować.



fol. Marcin Klinger



Musimy to wykrzyczeć.

I zastanawiam się, dlaczego tak jest. Jak zaglądnę do internetu, czego staram się unikać, bo można się czasem załamać, to widać to jeszcze silniej. Nie wiem, powodem jest chyba jakiś deficyt wiary w siebie, połączony z manipulacją i podlany jeszcze najróżniejszymi pretensjami. To jest przerażające. Kiedyś, jak widziałem znak „Polski Walczącej” albo hasło „Polska Niepodległa”, bardzo mi się podobało, byłem wzruszony.

Już tak nie jest!

Nie tak jak kiedyś. I tu znowu wracamy do naszej historii. Po latach zaborów, podczas których kształtowała się nasza świadomość, przyszedł krótki czas wyczekiwanej niepodległości, II Rzeczpospolita.

Która w naszej zbiorowej pamięci jest idyllą.

Tak, wydarzyło się coś pięknego, a potem jest wojna, hekatomba, kolejny zabór i zależność. Tak patrzę na to

i dochodzę do wniosku, wracając do życia mojego dziadka, że „to” chyba musi się wydarzyć. Cholera, dawno już nie było wojny, nie było jakiejś zawieruchy. Jeśli dane nam będzie trwać jako naród, to przetrwamy. A kompleksy? Zawsze są, ale, mam wrażenie, u nas jakby biorą czasem górę. Przecież przez całe lata tego państwa nie było! Teraz znów jest, choć krótko. Dlatego ta nasza państwowość, zachowanie itp. muszą się utrząść, utrzeć, ułożyć.

A ty czego zazdrościsz, jakie masz kompleksy?

Zawsze w tym przypadku myślę o Niemczech, którzy są bardziej poukładani. Choć zaraz się zastanawiam, czy można mieć w stosunku do nich jakkolwiek kompleks. Bo z jednej strony ich podziwiam, a z drugiej mam niechęć. Z jednej strony jest to naród bardzo przewidywalny, poukładany, rozsądny; modelują sobie ten kraj, od rzeczy małych, jak drogi i chodniki, po sprawy większe. U nas, jak wiemy, dopiero się tego uczymy i różnie z tym bywa. Ale z drugiej strony, delikatnie mówiąc, wygłupili się wielokrotnie, przegrali dwie wojny, doprowadzili do ludobójstwa niespotykanego dotąd w Europie.

Równie skrupulatnie jak miasta i samochody zaprojektowali i zrealizowali system zagłady.

Z pełnym wyrachowaniem i dokładnością. Stworzyli cały system, który miał unicestwiać innych, więc mimo że darzę w pewnym sensie Niemców podziwem, to nie mogę mieć kompleksów. Mówiąc w kategoriach zbiorowości, to oni się wygłupili, a nie my. Ale nie mam zamiaru się wiecznie porównywać i przywoływać łomot spod Wiednia, powstania i inne. Ileż można? Ale byłoby świetnie, gdybyśmy się w przyszłości przypadkiem nie wygłupili. Mówię i myślę po polsku, jestem Polakiem, bo tu się urodziłem, taki Bóg miał na mnie pomysł. Ale jaka w tym wyjątkowość i moja zasługa?

Marek Szubryt

MARCELINA

DATA

20 / 02 / 16



MIJSCIE

SALA KAMERALNA NCPP

BILETY:

25 ZŁ (PRZEDSPRZEDAŻ)
35 ZŁ (W DNIU KONCERTU)

BILETY DOSTĘPNE W KASIE NCPP, KIOSKU KULTURALNYM
ORAZ NA STRONIE INTERNETOWEJ WWW.NCPP.OPOLE.PL,
WWW.KUPBILECJIK.PL

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
UL. PIASTOWSKA 14A, OPOLE 45-082



RENIFERY, KOMINEKI GEORGE MICHAEL



Nadchodzi taki czas, gdy z wystaw sklepowych zaczynają znikać znicze i funeralne wiązanki. Różnego rodzaju zjawy i duchy zastępuje pan w czerwonym kubraczku. Zaczynają się pojawiać kolorowo opakowane przedmioty. Robi się jakby jaśniej. I choć ten czas zaczyna się już 2 listopada, to jego kulminacja przewidziana jest na grudzień. Tak, to święta Bożego Narodzenia. Ale czymże byłyby święta bez muzyki?

Czas świąt rządzi się swoimi prawami. Jest to czas, gdy budżety każdej rodziny stają się większe, a portfele bardziej otwarte. I tę prostą zasadę wykorzystuje także rynek muzyczny. Stacja BBC przygotowała swego czasu recepturę na przebój. Okazało się, że aby to osiągnąć, muszą bezwzględnie zostać spełnione trzy punkty. Nasz przebój powinien być piosenką świąteczną właśnie, najlepiej powiązaną z filmem o tej samej tematyce. Trzeci punkt natomiast dotyczy tekstu. Tu bez zaskoczeń – miłość.

Jaskółką zbliżających się świąt było prawdopodobnie to, że usłyszeliście w radiu lub w jednym ze sklepów wielkopowierzchniowych „Last Christmas”. Tak jak możecie liczyć na zobaczenie podczas świąt filmu o Kevinie, który siedzi sam w domu bądź błąka się po Nowym Jorku, tak samo piosenka duetu Wham jest zwiastunem nadchodzących świąt. Piosenka, dodajmy, która stała się świeckim symbolem (i choć staram się unikać anglosaskich zapożyczeń, w tym przypadku nie dam rady) tak zwanych *Christmas Songów*. „Żelazny klasyk”, jak ujął to Macio Moretti, zapowiadając utwór podczas koncertu bożonarodzeniowego zespołu Kwadratowi (składającego się z artystów warszawskiej sceny niezależnej), w ramach którego „Last Christmas” wykonywane było przez 110 minut. W filmie „Był sobie chłopiec” grany przez Hugh Granta bohater prowadzi żywot bezrobotnego lekkoducha, któremu dni przepływają przez palce. Na taki stan rzeczy bezsprzecznie ma wpływ fakt, że na konto naszego

bohatera regularnie wpływała niemała kwota funtów. A to z tej prostej przyczyny, że jego ojciec popełnił kiedyś przebój świąteczny. Jeśli myślicie, że to historia wyssana z palca, to od razu odpowiadam: jesteście w błędzie. George Michael w jednym z wywiadów powiedział, że dzięki „Last Christmas” nie musiałby już pracować do końca życia. Kto wie, czy owego wywiadu nie czytał kiedyś Michael Bublé. I jako młodszy kolega po fachu wziął sobie słowa George’a Michaela do serca, gdyż jeśli przyjrzymy się pierwszej dziesiątce najczęściej odtwarzanych piosenek świątecznych w serwisie Spotify w 2013 roku w Wielkiej Brytanii, okaże się, że nadal króluje Wham. Choć Michael Bublé dopiero dobija się do świątecznego eldorado, okazuje się, że zdołał już umieścić na tej szacownej liście aż siedem utworów. Serwis www.prezzybox.com podał, że z zespołem Wham może się równać jedynie Mariah Carey. Jej piosenka „All I Want For Christmas Is You” wzbogaciło konto piosenkarki o 570 tysięcy dolarów. Ale to

nie oni zdobyli świąteczny olimp. Okazuje się, że zwyciężcą jest Noddy Holder, gitarzysta i wokalista glamrockowego zespołu Slade. W 2013 roku za piosenkę „Merry Xmas Everybody” otrzymał 1,3 miliona dolarów. Jeśli wasza wyobraźnia zaczyna pracować, nadmienię jeszcze tylko, że premierę piosenka miała w 1973 roku. No cóż, o pieniądze na kupno prezentów raczej martwić się nie musi. Ale czy piosenka poruszająca tematykę świąteczną musi być lukrowaną pulpą? Otóż niekoniecznie. Weźmy choćby „Happy Xmas (War Is Over)” Johna Lennona i Yoko Ono, która jest swoistym protest songiem przeciwko wojnie. Cała historia związana z tą piosenką wydaje się tym ciekawsza, że wiąże się z akcją, którą przeprowadzili John i Yoko. W jedenastu dużych metropoliach zapłacili za wywieszenie billboardów z hasłem „Wojna się skończy, jeśli tylko tego chcesz”, a na dole plakatów zamieszczony był dopisek *Happy Christmas from John & Yoko*. Piosenka powstała około dwóch lat później, a w jej nagraniu (co tylko wzmocniło przekaz) wzięły udział dzieciaki z Harlem Community Choir. Na początku zresztą utwór nie zyskał przychylności publiczności, nie wchodząc nawet do notowania Top 100 Billboardu. Ale w następnym roku „Happy Xmas” poradziła sobie na listach przebojów w Wielkiej Brytanii znacznie lepiej, a dziś jest grana równie chętnie jak inne popowe świąteczne *evergreeny*. Ale to nie koniec. Swoją kamyczek do tego świątecznego ogródka dołożyła również rapowa formacja Run DMC. Jej piosenka „Christmas In Hollis” z dużą dozą humoru opowiadała o świątach w ich dzielnicy. Hollis jest częścią dzielnicy Queens w Nowym Jorku, z której to muzyki pochodzą, a jeden z raperów w prezencie od św. Mikołaja znajduje milion dolarów pod choinką. Swoje trzy grosze dorzucili także punkowcy z The Ramones. Piosenką „Merry Christmas (I Don't Want Fight Tonight)” nawołują, aby w ten szczególny dzień rodzice zapomnieli o sporach dla dobra swych pociech. W kraju nad Wisłą z kolei czas świąt Bożego Narodzenia utożsamiany jest niezmiennie



z kolędami i pastoralkami. To one rozbrzmiewają przy wigilijnym stole oraz brane są na warsztat przez nawiązujących do tradycji artystów. Skutek bywa różny, ale ocenę zostawiam już wam. Ze swojej strony mogę polecić kolędy, które razem wykonywały dwie muzyczne rodziny – Steczkowskich i Pospieszalskich. Odstępstwa się zdarzają. Punkowe Para Wino nagrało album „Alternatywne Kolędy”. Ale tutaj odstępowstwo było tylko w warstwie muzycznej. Natomiast dziennikarze radiowej Trójki corocznie nagrywają tak zwanego „Karpia”. Piosenkę z zabawnym tekstem, która nawiązuje do świąt. Zwykle towarzyszy temu album, z którego dochód jest przekazywany na cele charytatywne. Jest więc inteligentnie, ciepło, rodzinnie, a i idea zacna, przypomina bowiem, że Boże Narodzenie to nie tylko szal zakupów i prezenty! O czym warto pamiętać.

Rafał Czarnecki

SZAFRAJĄCA, CZĘŚĆ 8

EDITORS

Zadziwiająca i ze wszech miar zasługująca na uznanie cechą charakterystyczną brytyjskiego zespołu Editors jest to, że w swojej dotychczasowej karierze (czyli od debiutanckiego „The Black Room” z 2005 r.) nie nagrał jeszcze słabej płyty. I nie ma tu znaczenia, czy zespół gra bardziej gitarowo, czy bardziej syntezatorowo; czy bliżej mu do mroku i dekadencji Joy Division, czy też urzeka melancholijnym synthpopem. U Editors zawsze wszystko wiąże wspaniałe, niebanalne melodie, do których komponowania muzycy mają wyjątkowy talent. Wyjątkiem od tej reguły nie jest też najnowsza płyta grupy – „In Dream”. A otwiera ją niesamowity „No Harm”, przepiękne – żeby nawiązać do tytułu albumu – marzenie senne, oniryczny chłód. Poniżej, jak każda MIC-owa tradycja, proponujemy naszą wariację poetycko-prozatorską na temat tekstu tej piosenki.



*I'll boil easier than you
Crush my bones into glue
I'm a go-getter
The system's in red
The room is inbred
I'm a go-getter*

*Don't hold no harm
Don't hold no harm*

*My children despise my wonderful lies
I'm a go-getter
I see through your walls
And your space down your halls
I'm a go-getter*

*Don't hold no harm
Don't hold no harm*

*The fever I feel, the fake and the real
I'm a go-getter
My world just expands
Things just break in my hands
I'm a go-getter*

*Don't hold no harm
Don't hold no harm*

No Harm [Bez czucia]

*spiesz się: krew wrze jak słońce
kości przetapia w kleistą maź
w tym wyścigu jesteś szczurem
biegniesz do czerwonej linii
tam gdzie kończy się okrąg
w odrętwieniu nie czujesz bólu
nie czujesz już nic: nic*

*spiesz się: twoje kłamstwa czuć
na wyciągnięcie ręki
szyba tworzy iluzję schronienia
a świat wcale nie stoi otworem
świat kruszy się jak lupież
w pędzie tego nie czujesz
aż nagle: dłoń dziecka w twojej*

„Codziennie przeciskam się przez tłum słów / leżących pokodem na śpiewnych i niemych liniach życia” (Jan Polkowski)

„nic nie trwa wiecznie / mija każda chwila / piękna / i straszna” (Tadeusz Różewicz)

„Godziny zabłąkane w nich / jak niewidome dzieci” (Marcin Zegałto)

„Życie to resztką prądu / w wyjętym z gniazdka kablu radia, / które przez moment jeszcze działa” (Łukasz Jarosz)

„Masz ledwie parę dni / więc łap je za dzikie grzywy / nim czas skasuje ci / [grzywkę i portfel] / i żyj każdą rozbitą minutą, jakby była osobnym konkursem Pucharu Świata” (Paweł Marcinkiewicz)

„Horyzont jak trawa donikąd / kończy się na ostrzu każdego źdźbła” (Piotr Matywiecki)

„Na zamulonym kanale resztki mgły / układają się w pasy startowe dla owadów” (Edward Pasewicz)

„kiedy tylko odwrócisz wzrok znika to za czym tęsknisz / i czemu to czego pragniesz udaje że jest ciągle przed tobą” (Agata Ludwikowska)

„jesteśmy w pestce bytu, otoczeni chórami niebios, / zatrzymani na chwilę w czasie, zawinięci w przestrzeń” (Jacek Gutorow)

„Należy zapelniać i niszczyć przestrzeń” (Magdalena Bielska)

„stara kobieta mówiła, że umrę w szczelinie, w której nie ma światła” (Urszula Honek)

„Nauczyła nas, że słabe zwierzę / nigdy nie zaatakuje w ciemności” (Tomasz Pietrzak)

„(noc w noc się zapada) / i na złom spienionym snom /



poleją się łzy / i odezwie się grom” (Agnieszka Mirahina)

„Nawet nie wiem / czy to historia nas stworzyła / czy my stworzyliśmy historię. / Czy jesteśmy tylko echem / czyjegoś serca” (Ewa Lipska)

„Niech dusza moja zawiązana zostanie / w węzélku światła i poprzeda mnie, / idąc, / nim rozpoznam twój / krok” (Maria Bigoszewska)

„Już wkrótce nasze cienie będą dłuższe niż nasze dni” (Tomasz Mielcarek)

„– Który pochylasz się nad strofą jak nad nagrobkiem / Zatańcz, wychyl kieliszek lub dopisz drugą zwrotkę” (Wojciech Kass)

„A choć zapada się mogiła / Na wiosnę kwitnie tu pierwiosnek / W skrzypkach – jest czarodziejska siła / To ciemna siła moich piosenek” (Jarosław Marek Rymkiewicz)

Sławomir Kuźnicki & Bartosz Suwiński

BOKKA

DATA

16 / 01 / 16



MIEJSCE

SALA KAMERALNA NCPP

BILETY:

35 ZŁ (PRZEDSPRZEDAŻ)
40 ZŁ (W DNIU KONCERTU)

BILETY DOSTĘPNE W KASIE NCPP, KIOSKU KULTURALNYM
ORAZ NA STRONIE INTERNETOWEJ WWW.NCPP.OPOLE.PL,
WWW.KUPBILECIK.PL

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
UL. PIASTOWSKA 14A, OPOLE 45-082



Domowe Melodie

27/11/2015 fot. Patrycja Wanot



Pidżama Porno

16/10/2015 fot. Roman Rogalski



The Dumplings

06/11/2015 fot. Patrycja Wanot





Lao Che

07/11/2015 fot. Roman Rogalski



John Porter

17/10/2015 fot. Roman Rogalski



Indios Bravos

21/11/2015 fot. Roman Rogalski





RZĘKA LUDZI ZMIENIA ŚWIAT

Historia świata obfituje w niezliczoną ilość wydarzeń, które trwale zmieniają zastany porządek. Czasem są to pojedyncze epizody, częściej jednak procesy, które wprowadzają nieodwracalne zmiany w strukturze społecznej, kulturze, gospodarce i polityce. Rok 2015 zapamiętamy przede wszystkim jako czas „kryzysu migracyjnego”, a w zasadzie jako okres, który uświadomił bogatszym społeczeństwom, że poza ich dostatkiem urządzonym światem istnieje również ten drugi – wypełniony wojną, biedą i niepewnością o swój los.

Odsuwając na bok polityczne spory i gorące nastroje towarzyszące tematowi uchodźców, warto pamiętać, że historia naszej planety zna wiele potężnych fal migracyjnych, które rozlewały się we wszystkich możliwych kierunkach. Jedną z nich była wielka migracja Afroamerykanów w USA, podczas której południowe stany opuściło 1,3 miliona czarnych obywateli. Ów proces

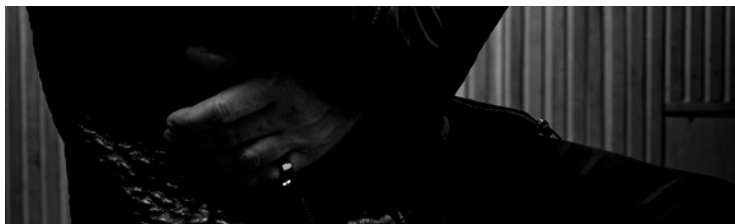
zmienił całkowicie społeczną strukturę i demografię Stanów Zjednoczonych. Powodów ogromnego odpływu ludzi z południa było co najmniej kilka, a decydującym z pewnością były prawa segregacyjne, które skutkowały szeroko zakrojoną dyskryminacją. Swoją rolę na exodus czarnej społeczności miała również największa w historii USA powódź, która nawiedziła tereny wzdłuż rzeki Missisipi w 1927 roku. Pod wodą znalazło się niemal 70 tys. km², w rejonach Memphis rzeka osiągnęła szerokość 97 kilometrów, setki tysięcy ludzi straciło dach nad głową, zginęło 246 osób. O tych tragicznych wydarzeniach opowiada nagrana w 1929 roku pieśń „When The Levee Breaks”, którą wykonywała zjawiskowa na owe czasy para: Minnie, nazywana bluesową wokalistką wszech czasów, i Kansas Joe McCoy. To typowa dla bluesa z delty Missisipi kompozycja oparta na gitarze akustycznej i zabarwionym lamentem głosem, która opowiada o ciężkim losie Afroamerykanów zamkniętych w specjalnych obozach i zmuszonych do nadludzkiej pracy przy usuwaniu skutków powodzi. Użalając się nad swoją rozpaczliwą sytuacją, marzą o lepszym życiu i przeprowadzce do Chicago. Utwór z pewnością nie uzyskałby swego statusu, gdyby nie Robert Plant, który



nabył do swojej kolekcji ową pieśń i podczas jednego z twórczych wieczorów puścił nagranie Jimmy'emu Page'owi. W ten sposób kompozycja przearanżowana przez Led Zeppelin trafiła na płytę z numerem „IV”. Był to jeden z najciekawiej wyprodukowanych utworów w historii grupy. Ilość użytych efektów i pomysłów na uzyskanie brzmienia w zasadzie uniemożliwiła wykonywanie tej pieśni na koncertach. Utwór otwiera partia bębnowa, którą John Bonham nagrał, siedząc za perkusją na parterze studia, a rejestrowały ją mikrofony ustawione na trzecim piętrze budynku. Przestrzeń, jaką dzięki temu uzyskano, jest unikatowa i niepodrabialna. Syn Bohnama, Jason, powiedział kiedyś: „To intro brzmi jak stworzone przez bogów, gdziekolwiek to puścisz, każdy wie, że to John Bonham”. Perkusja z „When The Levee Breaks” to jeden z najczęściej samplowanych fragmentów twórczości Led Zeppelin, a w szczególności umiłowali ją sobie hiphopowcy z Beastie Boys („Rymin’ And Stealin”) i Dr. Dre („Lyrical Gangbang”) na czele. Doskonałość coveru nie przykrywa oczywiście tragicznego wydźwięku piosenki z 1929 roku. Kiedy tama pęka, nic nie zatrzyma wody. Gdy spojrzymy na tekst utworu metaforycznie, nie sposób się oprzeć wrażeniu, że jest niezwykle aktualny.



CAŁA FRAJDA POLEGA NA PODRÓŻY SAMEJ W SOBIE



Życie, jak i muzyka to jak podróż pontonem po rzece. Nie jesteś w stanie przewidzieć, co cię czeka, kiedy będzie wodospad, kiedy będzie cokolwiek, ponieważ tej rzeki nie znasz. Dlatego nią płyniesz i cała frajda polega na podróży samej w sobie – między innymi o ostatniej płycie zespołu Jafia Stanisławowi Bitce opowiada Dawid Portasz.

Skróciście nazwę z Jafia Namuel na Jafia. Można przez to rozumieć, że z tego samego korzenia wyrasta nowe drzewo?

Trószkę trzymujemy to nasze drzewo. Nie odcinamy się od przeszłości, ale zaczynamy nowy rozdział. Ustabilizował się nasz skład, w tej chwili jest nas pięciu i dobrze nam się tworzy. Zrobiliśmy wspólnie płytę, w zupełnie inny sposób niż do tej pory. Postanowiliśmy po raz pierwszy z Jafią pracować z producentem (Marcinem Pospieszalskim), zaprosić ciekawych muzyków...

Jest Kayah, jest Wojciech Karolak. Skąd ten pomysł?

Życie, jak i muzyka to jak podróż pontonem po rzece. Nie jesteś w stanie przewidzieć, co cię czeka, kiedy będzie wodospad, kiedy będzie cokolwiek, ponieważ tej rzeki nie znasz. Dlatego nią płyniesz i cała frajda polega na podróży samej w sobie. W niektórych momentach trzeba się złapać za jakiś konar, czasem trzeba zejść na brzeg. I takie rzeczy działy się w trakcie nagrywania „Ka ra va ny”. Nie było to zamierzone wcześniej, żeby zaprosić Kayah, ale w momencie kiedy powstała „Skrucha”, stwierdziliśmy, że piosenka jest wybrakowana, że w niej mógłby wystąpić jakiś gość. Wokal Kayah, jej charyzma i sposób śpiewania doskonale pasuje do tego kawałka, stąd też pomysł. Zaproszenie zostało przychylnie odebrane i udało nam się ten pomysł zrealizować. A Karolak? Mieliśmy numer, który nieoczekiwanie nabrał stylu gospel. Potrzebny był rasowy hammond. Krótko mówiąc, nie ma nikogo lepszego w tym kraju, kogo by można do tej roli zatrudnić.

Można powiedzieć, że tak samo potraktowała Sedativa Ciebie jako wokalistę reggae. Nagraliście świetny album, ale mało pograliście go na żywo. Jest szansa, że coś się wydarzy z tym projektem?

To prawda. Dużo zależy od chłopaków, ale też dużo zależy od tego, co będzie robiła Jafia. Na razie mam w Jafii tyle pracy, że nie wyobrażam sobie możliwości robienia czegokolwiek innego, a mam w planie stworzenie płyty solowej, więc jeżeli miałbym się tym zająć, to Sedativa będzie musiała trochę poczekać.

A co z Rastasize? Podobno zaczęliście pracę nad drugą płytą, macie jakieś rozgrzebane numery...

Tak, zrobiliśmy z Krystianem prawie całą płytę, ale ta płyta nie będzie już realizowana, bo nie zamierzam już pracować jako Rastasize, co nie wyklucza mojej współpracy z tymi muzykami. Rastasize jako takie jest już tematem zamkniętym.

Bardzo mnie ciekawi, co robiłeś podczas pobytu za granicą. W końcu nie pojechałeś do Anglii, żeby zmywać naczynia, tylko grać muzykę...

Jest taki projekt, który się nazywa the brainHOLE i to jest zupełnie inny klimat. To jest muzyka industrialna, rock zmieszany z dużą ilością instrumentów elektronicznych. Nie wyszło to na plastiku, ale jest płyta, którą można znaleźć w internecie, nazywa się „23 32”. Jest też jeden teledysk, który cały czas jest w sieci, do piosenki „Nothing (feels like)”, i jest to ostatnia piosenka z tego projektu. Muszę to powiedzieć: przyjaciel, z którym tworzyłem the brainHOLE, dwa lata temu tragicznie zginął i wraz z jego śmiercią materiał uległ zniszczeniu, twarde dyski zostały sprzedane i zostały tylko ochłapy z tego materiału...

A czego się spodziewać po Twojej solowej płycie? Będzie reggae'owo, czadowo?

Piosenki mam już napisane. Przeważnie piszę linię melodyczną, piszę tekst, częstokroć też całe akordy. Rzadko się bawię w linie basowe (akurat na Rastasize trochę napisałem). Potem dobieram muzyków, którzy potrafią to fajnie wyrazić, i też od nich będzie zależał charakter płyty.

Wróćmy do Jafii. Przed „Ka Ra Va Na” był „One Love Train” – album koncertowy, na którym znalazło się, poza utworami Marleya, kilka waszych niepublikowanych numerów. Np. rewelacyjny „Fire”. Czy będziecie nagrywać wersje studyjne tych numerów?



Myślmy o tym bardzo poważnie. Zaczęliśmy pracować nad przerabianiem tych rzeczy. „One Love Train” była robiona na szybko. A ja widzę niektóre piosenki w nieco innych aranżacjach. Uważam, że dojrzeliliśmy do tego, żeby ten temat ugryźć na nowo. Jest bardzo prawdopodobne, że na kolejnych płytach będziemy chcieli ożywić na pewno nie wszystkie, ale część na pewno.

Karawana to z perskiego grupa podróżnych. Rozumiem, że Wasza płyta to podróż...

Tak, nasza płyta to podróż i nasze życie to podróż. Chciałem podkreślić ten nasz nomadyczny tryb życia. Sama płyta treścią mówi o podróży życia...

Twojej muzyki nie można oddzielić od tekstów. Jakiś czas temu mówiłeś w wywiadach, że nie możesz spokojnie jeść śniadania, patrząc na to, co się dzieje na świecie. Czy coś się zmieniło?

Świat, w którym my żyjemy, ma dwie strony. Ostatnio bardziej się otwieram na pozytywne strony tego świata. Nie jesteśmy w stanie zmienić tego świata, nie zmieniając siebie. Natomiast prawda na temat ludzkości jest przykra. Kiedy ludzie słyszą prawdę, to zrobiliby wszystko, żeby zabić tego, kto ją mówi. A jeśli ktoś wymyśla jakąś bzdurną filozofię, ideologię, to bardzo szybko ma szansę, żeby stać się liderem. Mamy niestety taką słabość, że nie lubimy słuchać prawdy, a zwłaszcza prawdy o sobie. Mamy głęboko zakorzenioną hipokryzję. Wszystkie wojny, całe zło jest powodem tego, że my jako hipokryci pozwalamy zamknąć na to oczy; gdybyśmy byli bardziej szczerzy wobec samych siebie, nigdy nie pozwolilibyśmy na to, żeby oglądać igrzyska sportowe w czasie, kiedy w Syrii matki doją psy, żeby karmić swoje dzieci.

Stanisław Bitka

WYWIAD UKAZAŁ SIĘ RÓWNIEŻ W MAGAZYNIE PROWINCJA

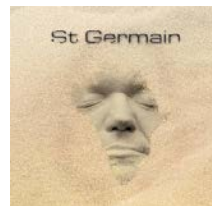
POD

SUMOWANIE MUZYCZNE

2015

Jak co roku, a pod jego koniec szczególnie, różnego rodzaju pisma i audycje muzyczne zapadają na dziwną chorobę. Polega ona na tym, że zamiast pisać o muzyce, przybliżać jej różnorodność i pokazywać jej fenomen, zaczynają ją mierzyć, wartościować i ustawiać na podium. Słowem, miarki, stopery, szarfy i bajery przygotowane – czas rozpocząć ranking. Od zainfekowania nie jesteśmy wolni i my, dlatego polecamy zestaw albumów, które zdaniem każdego z nas w roku 2015 są warte wyróżnienia.

MICHAŁ MOŚCICKI



ST GERMAIN „Saint Germain”

Album, na który słuchacze czekają piętnaście lat, powinien być wyjątkowy. Ludovic Navarre, ukrywający się pod pseudonimem St Germain, z pewnością zdawał sobie z tego sprawę, a zadaniu sprostał bez cienia wątpliwości.

Otrzymaliśmy spójny album w najlepszym, nujazzowym stylu. Miłość do muzyki house odbiorców poprzednich albumów nie może dziwić, ale wybór instrumentarium i sampli z pewnością zaskoczy niejednego. Całość brzmi tak, jakby zakochany w ciepłym brzmieniu pianina artysta wskoczył do busa Tuaregów z Tinariwen i towarzyszył im w podróżach po świecie. Przepelniona afrykańską żywiołowością płyta zyskuje dodatkową głębię i dotyka nieznanych dotąd w twórczości Francuza brzmień. Doskonale grzeje w chłodne dni i wieczory. Magnifique!



ALABAMA SHAKES „Sound & Color”

Nie ma wątpliwości, że w szeroko rozumianej muzyce soulowej w tym roku ekipa z Alabamy nie miała konkurencji. Nie zbacza z obranej na początku ścieżki, tylko plecak ma coraz bardziej wypełniony dodatkami, pomysłami

i emocjami. Doskonale zaśpiewane kompozycje, pełne wrażliwości i południowoamerykańskiego pazura, poruszają najczulsze struny u miłośników autentyczności w muzyce. Życiowe teksty za pomocą fenomenalnego głosu Brittany Howard uderzają ze zdwojoną mocą. Jak już wcześniej pisaliśmy: prawda, dźwięk i kolor. Słuchacz głośno!



JOSS STONE „Water For Your Soul”

Mając na swoim koncie setki tysięcy sprzedanych płyt, wórnagród i nominacji, kolaborację z Mickiem Jaggerem i Damianem Marleyem, trudno się oprzeć pokusie, aby nieco zwolnić tempo. Zwłaszcza że wszystko odbywa się przed trzydziestką. Joss Stone jednak skutecznie ową pokusę pokonuje i nieustannie oddaje się muzycznym poszukiwaniom. Złote dziecko brytyjskiej sceny, bez mruknięcia okiem zrezygnowała z intratnego kontraktu z EMI, założyła własną wytwórnę i nagrała album mocno osadzony w brzmieniach reggae. „Water for your soul” zaskakuje jednak swoją wielowymiarowością. Nie brakuje tu brzmień irlandzkich, gitar flamenco, indyjskiej tabli i oczywiście soulowego głosu samej Joss. Nie tylko woda, ale i miód dla duszy.



KENDRICK LAMAR „To Pimp A Butterfly”

Po doskonałych recenzjach „Good Kid, M.A.A.D City” trudno było o bardziej wyczekiwany album. Hiphopowi ortodoksi dostali jednak od Kendricka Lamara twarde orzechy do zgryzienia. Pomimo silnych zapędów słucha-

czy, aby Kendricka wynieść na ołtarze hip-hopu jako zbawcę gatunku, sam raper nie poszedł na żadne kompromisy i otrzymaliśmy album dla naprawdę wymagających odbiorców. Bliżej temu wydawnictwu do artystów spod znaku wytwórni WARP niż wpadających w ucho refrenów z poprzedniej płyty. Obecność Thundercata i Bilala zdaje się tylko to potwierdzać. Surrealistyczne nieomal produkcje, wypełnione elektroniką i mocno połamany kompozycjami nie ułatwiają odbioru, ale ich głębia zaskakuje. Odwaga, aby ze Snoop Dogga i Pharella Williamsa zrobić postaci trzecioplanowe, cechuje tylko pewnych siebie graczy. Dobre dzieciaki z szalonego miasta wiedzą, jak to robić.



O.S.T.R. „Podróż Zwana Życiem”

Adam Ostrowski swoją ostatnią płytą sprawił, że nie można go pominąć w podsumowaniu roku. Wbrew narzekaniom malkontentów Ostry osiągnął brzmienie, którego nie powstydziliby się żaden ze światowych producentów, nie tylko hiphopowych. Podejście do kompozycji wskazuje zupełnie nowy kierunek na rodzimej scenie. Doskonale łączenie świeżej elektroniki z mocnym basem i nieoczywistym beatem pozwala się oderwać od warstwy lirycznej i napawać samą muzyką. Przestrzeń, którą tworzą detale i ozdobniki, pozwala odnaleźć nowe dźwięki z każdym kolejnym odsłuchem. Nie oznacza to, że w warstwie lirycznej niczego szczególnego nie znajdziemy. Teksty są niebanalne, a Ostry świadomie wykorzystuje szeroki wachlarz swoich umiejętności, od storytellingu przez bragga aż do refleksyjnych momentów. Jeśli podróżować, to tylko z takim przewodnikiem!



DOBRY, BO POLSKIE **DONGURALESKO** „Magnum Ignotum”

„Rap to nie zabawa już, to nuka” – nawijał niegdyś Abra Dab. Obcując z ostatnim wydawnictwem Donguralesko, trudno się z owym wersem nie

zgodzić. Gural, mając ugruntowaną pozycję na rodzimej scenie, stale się rozwija, proponując słuchaczom coraz bardziej ambitne produkcje. Niewielu jest raperów, którzy z taką swobodą potrafią opowiadać o losach świata przez pryzmat filozofii i literatury, nie ocierając się jednocześnie o stos wyświechtanych banałów. Na „Magnum Ignotum” bohaterowie Dostojewskiego spotykają Von Triera, a Mickey Rourke towarzyszy malarstwu Moneta. Raper nie ukrywa swojej miłości do natury i górskich wędrówek, ale najciekawsze są na tej płycie wyprawy do wnętrza ludzkiej natury. To droga rzadko uczęszczana w polskim hip-hopie, tym bardziej godna uwagi.



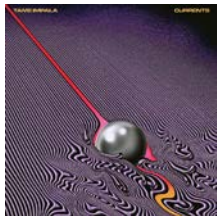
DEBIUT ROKU **IBEYI** „Ibeyi”

Siostry Diaz swoim debiutanckim albumem udowadniają, że często w muzyce zwycięża prostota. Pięknie zaśpiewane frazy, nierzadko w języku Yoruba, który odwołuje się do ich korzeni, wsparte brzmieniem pianina i kubańskim cajón. Sekret tkwi w emocjach, jakie niosą za sobą te pieśni. To bardzo osobiste historie, które paradoksalnie wybrzmiewają z niesamowitą siłą poprzez oszczędne środki. Słychać tu jednak inspiracje zarówno muzyką etniczną, jak i nowoczesną, minimalistyczną elektroniką. Siła sióstr!

ŻENUA ROKU

To trochę żenua okółomuzyczna, ale z artystami w roli głównej. Jedna z telefonii komórkowych (ta w kolorach różowych, przepraszam, magenta) pozazdrościła tandetnej kampanii „śpiewanej” innej sieci (tej fioletowej) i zatrudniła znanego aktora do wyśpiewywania w rytm popularnych hitów peanów na cześć doskonałej oferty. Tak, zdaje sobie sprawę, że to konwencja, żarty, śmieszki-heheszki. Wiem, że aktorzy na całym świecie grają w przeróżnych reklamach. Mimo wszystko, czy nie można tego zrobić w mniej kiczowatym i męczącym stylu? Czy trzeba ludziom wciskać oferty za pomocą tandetnych chwytów, przerabiając znane piosenki w taki sposób, aby rymowały się z „esemesy” i „mam taniej”? Panowie od kampanii za pewno uśmiechnęliby się z pobłażaniem i pokazali słupki sprzedaży. O, naiwności!

RAFAŁ CZARNECKI



Tame Impala „Currents”

Nigdy nie byłem przesadnym entuzjastą dokonań skądinąd powszechnie chwalonego i docenianego zespołu, jakim jest Tame Impala. Ale mała ewolucja, jakiej dokonał pod dowództwem Kevina Parkera,

będącego kołem zamachowym grupy, budzi mój szacunek. Psychodeliczny pop, pełen syntezatorowych brzmień z naleciałościami i – nie boję się tu użyć tego słowa – charakterystycznymi dla disco oraz zgrabnymi melodiami. Na dodatek całość zanurzona jest w latach siedemdziesiątych. Słuchając „Currents”, zrozumiecie, na czym polega różnica między inspiracją a zwykłą zrzynką. Zrzynką, która bywa niestety przekleństwem wielu zespołów. Ale nie Tame Impala! Warto znać.



Susanne SundfØr

„Ten Love Songs”

Pochodząca ze Skandynawii wokalistka nie jest na muzycznej scenie debiutantką, bo „Ten Love Songs” to już piąta płyta w jej dorobku, a w rodzimej Norwegii Susanne ma

status gwiazdy. Wydaje się, że najnowszym albumem artystka postanowiła wypłynąć na szersze wody: od strony produkcyjnej jest jak najbardziej światowo, gdyż odpowiadają za nią Anthony Gonzales z M83 oraz duet RØyksopp. Tym samym na „Ten Love Songs” usłyszeć można pop, który podkreślony został mocnym syntezatorowym bitem, choć zdarzają się też bardziej melancholijne momenty. To, za co należy z pewnością docenić SundfØr, to fakt, że sama jest autorką kompozycji, co w świecie muzyki pop wcale normą nie jest. Choć czasami górę bierze ambicja, jak np. w dziesięciominutowym „Memorial”, i wtedy napięcie trochę siada. Ale i trzeba docenić rozłożenie sił pomiędzy przebojowością a ciekawością materiału. Godne uznania.



Courtney Barnett

„Sometimes I Sit and Think, and Sometimes I Just Sit”

Gdybym do opisu tej płyty miał użyć tylko jednego słowa, bezsprzecznie byłoby to określenie: bezpretensjonalna. Bo zarówno muzyka, która

obraca się w kręgu garażowego rocka, punka, a i bluesa delikatnie czasami dotknie, jak i teksty pochodzącej z Melbourne dwudziestosiedmioletniej Australijki takie właśnie są. Artystka nie sili się na jakieś wydumane zabiegi

aranżacyjne i wyszukane instrumentarium, stąd usłyszeć można jedynie bas, gitarę i perkusję. Wybitną wokalistką Courtney też raczej nie jest, o czym sama przypuszczała nie doskonale wie, stąd zapewne tak często pojawiająca się na „Sometimes I Sit and Think, and Sometimes I Just Sit” melorecytacja. Tematem piosenek są tematy najzwyklejsze, ot, zwykła codzienność, z dużą dozą dystansu do siebie samej. A wszystko to zamknięte jest w trzyminutowych piosenkach (z małym odstępstwem w przypadku dwa razy dłuższych ballad). Czysta radość grania i czysta przyjemność słuchania.



Soko

„My Dreams Dictate My Reality”

Pod pseudonimem Soko kryje się Stephanie Sokoliński, urodzona w Bordeaux aktorka i piosenkarka o – jak można się domyślić

– polskich korzeniach. Mimo młodego wieku zdążyła już być nominowana do Cezara oraz rozpocząć i zakończyć swoją karierę muzyczną, co ogłosiła na swoim myspace po wydaniu pierwszej płyty – „Soko is death”. Teraz jednak artystka wstaje z zaświatów i wydaje swój drugi długogrający album. Producentem „My Dreams Dictate My Reality” jest Ross Robinson, który był także producentem płyty The Cure – „The Cure”. Wspominam o tym, gdyż The Cure wydaje się dla Soko niezwykle ważny. Płyta jest więc i zimnofalowa, i postpankowa. Rozkręca się z każdą piosenką, od popowej słodkości po bardziej rasowe kompozycje. Na płycie mamy dwa duety: w obu przypadkach wokalistkę wspomógł nie kto inny, jak sam Ariel Pink (świetne piosenki). Udany powrót.



Deerhunter **„Fading Frontier”**

Pieśczochoy indierockowego świata nagrały nowy album. I jest to album inny od poprzednich, co jest najwi-
doczniej wpisane w DNA zespołu, bowiem tym razem dostajemy wcielenie zespołu

najbardziej piosenkowe, a co za tym idzie – najbardziej przystępne. Chropowate gitary ustąpiły miejsca klawiszom i bogatszym zabiegom aranżacyjnym. Ale spokojnie, nie ma żadnego zbędnego baroku. To wciąż jest indierockowe granie na bardzo dobrym poziomie. Po prostu dziewięć utworów zamkniętych w 36 minut muzyki (choć przyznam, że z chęcią pozbytym się jeszcze „Leather and Wood”). Niby krótko, ale kto broni wcisnąć replay? Taki łowca jeleni to przyjazny łowca.



DOBRE BO POLSKIE!

Szatt **„Bloom”**

Wydaniem właśnie tej płyty, przy wsparciu wytwórni Asfalt Records, zadebiutował na rynku label Flirtini Recorda. Debiut wydawniczy, trzeba to przyznać, bardzo udany. Ale

zaczynamy od początku. Za pseudonimem Szatt kryje się Łukasz Palkiewicz. Producent, który na swoim koncicie ma choćby przygotowywanie podkładów dla Bisza, wygraną w Beat Battle czy swój debiut płytowy „Future Voices”. Szatt sprawnie porusza się w tyglu elektroniki zwanym new beats, a na swoim albumie korzysta z sampli, jak i z żywych instrumentów. Dobre zbalansowanie pomiędzy utworami instrumentalnymi a piosenkami okraszony-

mi wokalami, które niosą cały album. Słowem, „Bloom” to krążek bardzo spójny. Dobra miejska muzyka.



DEBIUT **Jamie XX „In Colours”**

Z pamiętnika brytyjskiej muzyki klubowej – tak w skrócie mógłbym opisać ten album. Choć trzeba przyznać, że nazwa „In Colours” jest wdzięczniejsza. Ale to nie wszystko, gdyż na swoim solowym debiucie Jamie Smith dał upust swym muzycznym fascynacjom krążącym wokół muzyki granej w londyńskich klubach. Przy wsparciu wokalnym członków swojej macierzystej formacji The XX (w 3 utworach) stworzył album broniący się paletą pomysłów, zróżnicowany i ciekawy. Do tego dorzucił wakacyjny hicior „I Know There’s Gonna Be (Good Times)” z udziałem Popcaana i Young Thunga. Ale to zdecydowanie nie zbiór fajnych singli, ale pełnowartościowy album. Śmiało można powiedzieć, że Jamie XX sprostał oczekiwaniom, które – warto dodać – były ogromne.



ŻENUA ROKU

Mumford & Sons **„Wilder Mind”**

Gdzieś w sali prób zespołu Mumford & Sons:

- Słuchaj, musimy wydać nową płytę.
- No !?
- No wiesz, trochę mam już

dość tego banjo i stylówki amiszów.

– To napisz kilkanaście piosenek w średnich tempach, łądząco do siebie podobnych.

– Myślisz, że to przejdzie?

– W stacjach radiowych na pewno.

– No, a jak się pojawiają jakieś niepochlebne recenzje?

– A zależy ci na pełnych stadionach czy na jakichś pismakach?

– Wiesz, gramy dla ludzi. Ale naprawdę myślisz, że to przejdzie?

– A mówi ci coś nazwa Coldplay?

MAREK SZUBRYT



Zbigniew Wodecki with Mitch & Mitch Orchestra and Choir **„1976: A Space Odyssey”**

O efekcie pracy połączonych sił Mitchów i Zbigniewa Wodeckiego piałem z zachwytu już w ostatnim MIC-u. W kilka

miesiący później zachwyty nie maleje, bowiem „1976: A Space Odyssey” jest – zwyczajnie – rewelacyjną płytą. Podtrzymuję wszystko, co napisałem wcześniej: ze świecą szukać albumu, który w tak lekkim, a zarazem niepozabawionym finezji i sztuce sposób daje słuchaczowi mnóstwo radości. Fenomenalnie zrealizowane piosenki sprzed niemal 40 lat, napisane i zaaranżowane przez Wodeckiego, niczym projekty ustaw trafiły do zamrażarki. Szczęśliwie grupa niepoprawnych szaleńców z Mitch and Mitch namówiła kogo trzeba, aby – jak sami piszą – nieść wieść o Świętym Graalu polskiej muzyki rozrywkowej. Dawno na polskiej scenie nie było takiego albumu. I tylko szkoda, że trzeba było czekać prawie 40 lat, żeby taką perełkę wydobyć. Ale nie ma co gadać, trzeba posłuchać, bo to jedna z najlepszych płyt mijającego roku. Konieczność!



Lao Che „Dzieciom”

Niewiele jest w naszym kraju zespołów, które potrafią przez tak długi czas trzymać wysoki poziom. Lao Che jest jednym z najznakomitszych tego przykładów, bo ich szósta płyta, nosząca tytuł „Dzieciom”, to majstersztyk. Po delikatnych próbach wplecienia brzmień elektronicznych sekstet postawił na radość grania. Powodem po części była wspólna, nosząca nazwę Jazzomble trasa z Pink Freud (sekcja dęta Freudów udziela się zresztą gościnnie na płycie), która czerpała pełnymi garściami z żywiołowości i radości grania na żywo. W przypadku „Dzieciom” jest podobnie, zespół zamknął się bowiem w studiu w górach i nagrał cały materiał na tzw. setkę. A jeśli dodamy do tego teksty Śpiętego, całość zyskuje jeszcze żywszy blask. Proste, zwarte, ale jednocześnie pomysłowo zaaranżowane utwory w sposób nieskomplikowany opowiadają o sprawach rangi zdecydowanie niepiórkowej. I choć tematy poruszane na płycie nie należą do lekkich, słuchając jej po raz kolejny, cieszyć się jak dziecko.

Battles „La Di Da Di”

Battles, które od jakiegoś czasu z kwartetu stały się triem, postanowiły trzymać się okrojonej formuły. Dlatego też na „La Di Da Di” nie znajdziecie ani

jednej piosenki, ale w zamian otrzymacie porcję solidnego i zwartego instrumentalnego grania. Piszę „zwartego”,

ponieważ bawiący się mathrockowym szkieletem muzycy również na ostatnim albumie nie mają litości. Na „La Di Da Di” znajdziecie 12 kompozycji opartych na bezlitośnie policzonych i skrojonych zapętleniach i podkładach, do których dołożone zostały partie instrumentalne. Nie ma mowy o przypadkowych zwolnieniach lub przyspieszeniach, nie ma też miejsca na pomyłkę czy wyjścia poza takt. No, chyba że mówimy o zamierzonych przesunięciach, które mają mniej doświadczonych wybić z rytmu lub wywieść w pole. Panowie z Battles starają się mówić, że jeśli chodzi o podział rytmiczny – muzyka to matematyka i już! Zdanie wyświechtane i oczywiste jednocześnie, ale nie ma zmiłuj. Myliłby się jednak ten, kto uzna, że na „La Di Da Di” to twór bezduszny i wyzbyty emocji. Zarówno sample, jak i partie wygrywane na instrumentach mają charakter i brzmienie, podobnie jak tytuł płyty, nieco dziecinne i iście figlarne.



BOKKA „Don't kiss and tell”

Jeden z najbardziej skandynawskich rodzimych zespołów, bo tak najczęściej opisywana jest grupa BOKKA, wydał niedawno długo wyczekiwaną, drugą płytę. Po debiucie, który okazał się objawieniem, przyszedł czas na sprawdzian. A jako że start był „z wysokiego C”, zadanie nie należało do łatwych. Do podobieństw zaliczyć trzeba język angielski, wspomnianą już skandynawską brzmienia oraz tajemniczość, tj. choć domysłom i typom nie ma końca, nadal nie wiadomo, kto gra w zespole, bo na scenie artyści pojawiają się w maskach, a na zdjęciach skrupulatnie unikają ujawniania wizerunku. Pozostało więc „wziąć ich na słuch”. A jeśli tak, to wertując „Don't kiss and tell”, szyb-

ko można zauważyć różnice: mniej trzasków, zapętleń i innych eksperymentów, a więcej pełnokrwistych piosenek. Ale żeby być dobrze zrozumiany: nie ma w nich za grosz podpuchy czy pójścia na łatwiznę. Nie chciałbym decydować o wyborze kolejnych singli, bo na ostatnim albumie znajdziecie 10 niebanalnych kompozycji, które zyskują z każdym kolejnym przesłuchaniem. Choć to jeszcze nie olimp, trzeba oddać, że BOKKA nagrała solidny album, a brzmienie (i jego jakość) rozpoznawalne jest w mig. Oby tak dalej.



Kuba Kapsa Ensemble „Vantdraught 10 Vol. 1”

Znany jako współtwórca takich wybornych zespołów jak Something Like Elvis czy Contemporary Noise Quintet (a potem Sextet) Kuba Kapsa

nie przestaje zaskakiwać. Muzyk zdążył z basisty eksperymentalno-rockowego zespołu zostać pianistą składu jazzowego, ale teraz to zaskoczył chyba wszystkich. Choć zapowiedzi „Vantdraught 10 Vol. 1” pojawiały się od dłuższego czasu, a premiera opóźniła kilkakrotnie, forma ostatniego projektu artysty może budzić zdumienie. Kuba Kapsa postanowił bowiem zostać kompozytorem pełną gębą, gdyż na „Vantdraught 10 Vol. 1” możemy usłyszeć cztery utwory skrojone na małą orkiestrę. Całość utrzymana jest w stylistyce współczesnej, klasycznej muzyki repetytywnej i, bez cienia złośliwości, jak ułał pasuje na festiwal, jak np. Sacrum Profanum. Nie wiem, czy to słabość, jaką mam do twórczości Kapsy, ale „Vantdraught 10 Vol. 1” jest albumem, który od kilku miesięcy sprawia mi dużo przyjemności. Brawo nie tylko za odwagę oraz uparte i ambitne dążenie do celu, ale także – po prostu – za wykonanie.



DOBRE, BO POLSKIE

Eugeniusz Rudnik „Kostka Rudnika”

Za doprowadzenie do wydania „Kostki Rudnika” pomysłodawcom i realizatorom projektu należą się gromkie brawa. Powód jest prosty: czteropłytowy box z utworami Eugeniusza Rudnika (a dokładniej: trzy płyty z jego kompozycjami oraz jedna z interpretacjami/impresjami wg młodych polskich muzyków), będący rzetelnym zbiorem dzieł, które artysta przez lata tworzył w cieniu innych wielkich nazwisk. Co więcej, udało się skompletować utwory, które mogły przepaść, gdyż Rudnik tworzył w sposób zupełnie analogowy. Artysta zaczął swoją pracę w Studiu Eksperymentalnym Polskiego Radia jeszcze w czasach gomułkowskich, ale „Kostka Rudnika” zawiera utwory stworzone między 1975 a 1995 rokiem i jest dla mnie źródłem zarówno zachwytu, jak i nieustającego zdumienia. Powodem nie jest tylko sama twórczość: czyli najróżniejsze kolaże dźwiękowe, dla których budulcem było dosłownie wszystko, ale także wspomniana wcześniej anonimowość artysty. A warto wiedzieć, że Rudnik nagrywał i współpracował z największymi, by wymienić tylko Stockhausena, Schaeffera czy Pendereckiego. Dziś

– można powiedzieć – po latach uśpienia, uznanie i zachwyty wróciły ze zdwojoną siłą. Lepiej późno niż wcale, bowiem „Kostka Rudnika” to wyśmienite wydawnictwo znakomitego polskiego artysty.



DEBIUT ROKU

Taco Hemingway „Umowa o dzieło”

Jeszcze na początku roku na pytanie, kto to taki ten Taco Hemingway, mało kto umiał odpowiedzieć, a jeszcze mniej osób pokiwałoby głową z uznaniem. Dobrze, że jesienią szaliki nie wyszły z mody, bo w drugiej połowie roku niejeden musiałby chodzić w kołnierzu ortopedycznym. „Wiecznie zblazowany, ze zblazowaną miną, który nie wie co myśleć o komplementach od raperów, zdając sobie jednocześnie sprawę, że bańka hype’u w końcu minie” – tak w skrócie można określić objawienie mijającego roku: Taco Hemingwaya. Bo czy mi się to podoba czy nie, trzeba przyznać, że swoim rozdawanym za darmo w sieci albumem rozbił bank. Z nieznanego szerzej rapera stał się osobą pożądaną i zapraszaną na największe festiwale. Ale słowo raper nie jest najfortunniejszym określeniem, gdyż owszem, artysta posługuje się rapową melorecytacją, ale „Umowie

o dzieło” daleko do szablonowych wytworów tego gatunku. Utało się już nawet określenie, że jeśli mężczy cię klasyczny polski rap, to sięgnij po Taco Hemingwaya. Tak czy inaczej, nie można muzykowi odmówić oryginalności i pomysłu na siebie. Świeże i oryginalne teksty, styl co prawda powtarzalny, ale rozpoznawalny od pierwszej linijki oraz nietypowe beats – to największe atuty Taco Hemingwaya. No i ostrość przelewanych na papier obserwacji. Debiut wyjątkowo udany i choć nie będzie łatwo – oby tak dalej.

ŻENUA ROKU

Rock Radio, które niegdyś było Radiem Roxy, stało się ostatnimi czasy nie wiadomo czym. Bo dobrej, gitarowej muzyki jest tam niestety coraz mniej. Po tym, jak pozwaliano wielu prezenterów, wśród których nie brakowało zarówno dziennikarzy, jak i znakomych muzyków, a postawiono na dwie flagowe, dość satyryczne audycje, wydaje się, że głównym powodem istnienia stacji stała się możliwość emitowania coraz większej ilości reklam. Reklam, które w godzinach największej słuchalności przerywane są powtarzającymi się w kółko kilkunastoma piosenkami. I teraz nie wiem, czy wolę reklamę tabletek na gripę i lokalnego wytwórcy dachówek, czy może ostatni singiel tak „rasowego rockowego grania” jak Evanescence?

KONCERT

JWP / BC

S U P P O R T : L A K S I K

22 STYCZNIA

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

SALA KAMERALNA

#10 grudzień 2015

Redakcja: Narodowe Centrum Polskiej Piosenki,

ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, mic@ncpp.opole.pl

Prowadzenie, opracowanie, redakcja treści: Marek Szubryt, m.szubryt@ncpp.opole.pl

Zespół redakcyjny: Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki

Okładka: Hubert „Spięty” Dobaczewski – fot. Katarzyna Mach

Opracowanie graficzne, skład: Kamil Pieśniewski, grafika@ncpp.opole.pl

Reklama: Aleksandra Chłodnicka, a.chlodnicka@ncpp.opole.pl

Współpraca: Sławomir Kuźnicki, Bartosz Suwiński, Stanisław Bitka

Korekta: Krzysztof Szymczyk

Nakład: 2000 egzemplarzy

Wydawca: Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273

© Copyright by MIC

„Muzyczny Informator Culturalny”

MAGAZYN BEZPŁATNY



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki



BILETY / REZERWACJE

 **501 958 255**



www.ncpp.opole.pl



facebook.com/ncpppl



twitter.com/ncpp_opole



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki



Miasto Opole

BILETY DOSTĘPNE W KASIE NCPP, KIOSKU KULTURALNYM ORAZ NA STRONIE
INTERNETOWEJ WWW.NCPP.OPOLE.PL

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI, UL. PIASTOWSKA 14A, OPOLE 45-082

JUŻ WKRÓTCE



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

W NARODOWYM CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

16
STYCZEŃ **BOKKA**

22
STYCZEŃ **JWP/BC**

05
LUTY **HAPPYSAD**

06
LUTY **KAMP! +WE DRAW A**

13
LUTY **MALEO REGGAE ROCKERS**

20
LUTY **MARCELINA**

12
MARZEC **MARIA PESZEK**

02
KWIECIEŃ **HUNTER**

M A R I A
P E S Z E K



K O N C E R T

1 2 M A R C A

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
SALA KAMERALNA